

CONAN DOYLE.

# PÓŹNA ZEMSTA

na język polski przełożył W. L.

## ZE WSPOMNIEN WATSONA

3

Ciąg dalszy.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, w wieku około lat czterdziestu, dosyć dobrze zbudowany, o czarnych, kręących się włosach i krótko strzyżonej brodzie. Odziany był w surdut i kamizelkę z ciężkiego podwójnego sukna, nosił szare spodnie i wykwinutą bieliznę. Do niego należał także gładko prasowany, wysoki cylinder, leżący tuż obok niego. Ramiona rozwarł szeroko, dłonie zacisnął kurczowo, nogi spiętrzył nieco, prawdopodobnie podczas walki na śmierć i życie.

W jego martwych rysach mieściło się tyle przerażenia i tak zacięta nienawiść, jakiej nigdy przedtem nie widziałem na ludzkiej twarzy. Ten rys złośliwy, do tego niskie czoło, szeroki nos i wystające szczęki, nadawały trupowi wstrętnego, zwierzęcego wyglądu, który zwiększał się jeszcze wskutek nienaturalnego, pokurzonego położenia. Śmierci nieraz w oczy patrzałem, nigdy jednak nie uczyniło to na mnie tak pełnego grozy wrażenia, jak w tym opustoszałym domu przedmieścia Londynu.

Tajny komisarz Lestrade przyjął nas u drzwi, wiodących do pokoju.

— Wypadek ten narobi wrażenia — powiedział z naciskiem — nie jestem nowicuszem, a jednak coś podobnego przeżywam po raz pierwszy.

— Szukamy daremnie wyjścia — dodał Gregson.

Sherlock Holmes ukląkł obok zwłok i zaczął je badać dokładnie.

— Rany nie mogłeś pan zatem odkryć — zapytał, wskazując na liczne ślady krwi na podłodze.

— Nie! Niema żadnej — odparli Gregson i Lestrade równocześnie.

— W takim razie krew to kogoś innego, prawdopodobnie mordercy, jeśli wogóle popełniono morderstwo. Wypadek ten przypomina mi śmierć Van Jansena w Utrechcie w r. 1834. Pamięta go pan dobrze — panie Gregson?

— Nie, nie mam najmniejszego pojęcia.

— Powinien pan studyować historię! Niema nic nowego, wszystko to już było dawniej — mój panie!

Podczas tych słów, palce jego goniły z niebywałą zręcznością to tu, to tam. Naciskał, dotykał i badał poszczególne członki ciała z taką szybkością, że pojąć zaledwie mogłem, jak mógł łączyć poszczególne wyniki badania w jedną logiczną całość. Wzrok jego nabrał tymczasem owego ciekawego wyrażenia, jakie obserwowałem już nieraz u niego. W końcu obwachiwał wargi zmarłego i oglądał podeszwy jego eleganckich trzewików.

— Czy martwy leży dokładnie w tej samej pozycji, tak jak go znaleziono? — zapytał Sherlock.

— Badał mi, nie ruszając go z miejsca.

— Dobrze! Każ pan zanieść go do trupiarni! Nic więcej się nie dowiemy!

Nosze stały w pogotowiu i na rozkaz Gregsona weszło czterech jego ludzi. Gdy podnieśli martwego z ziemi, wypadł jakiś pierścień i potoczył się po podłodze. Lestrade rzucił się za nim jak ptak drapieżny, podniósł go i patrzył nań z miną, ogromnie zdziwioną.

— Obrączka ślubna kobiety — skąd ona się tu wzięła? — zawołał.

Wszyscy spoglądaliśmy na złoty pierścień, który trzymał w ręce — jaka narzeczona mogła go nosić na palcu?

— Sprawa już i tak bardzo zawiślana, staje się jeszcze zawiśnię — zauważył Gregson.

— A może wyjaśnia się z wolna — odparł Holmes w zamyśleniu. — W każdym razie na nic się nie przyda gapić się dłużej na niego; nie będziemy z tego ani trochę mądrzejsi. W kieszeniach nie znaleźliście?

— W przedpokoju wszystko jest razem — odparł Gregson — chodź pan!

Opuściliśmy pokój:

— Oto wszystko — zawołał — wskazując na kupkę rozmaitych przedmiotów.

Złoty zegarek nr 97163 od Barranda w Londynie, krótka dewizka z masywnego złota, złoty pierścień z odznaką wolnomularzy, psia główka z oczkami rubinowymi jako szpilka do krawatki, portfel z ruskiej skóry, karty wizytowe z nazwiskiem Enocha J. Drebbiera z Cleveland — to zga-

dza się całkowicie ze znaczkami na bieliźnie. Portmonetki nie miał żadnej, drobne pieniądze w kieszeni od kamizelki w kwocie siedmiu funtów i trzydziestu szylingów, kieszonkowe wydanie Boccaccia Dekameronu, własność Józefa Stangersona, dwa listy, jeden do E. J. Drebbiera, drugi do Józefa Stangersona.

— Skąd adresowane?

— Od amerykańskiego banku wymiany pieniędzy. Obydwa pochodzą od towarzystwa okretowego Guion i dotyczą odjazdu ich statku z Liverpoolu. Prawdopodobnie zamierzał nieszczęsny powrócić do New-Yorku.

— Dowiadywał się pan o Stangersona?

— Rozumie się — odparł Gregson — do wszystkich gazet posłałem zapytania, równocześnie poszedł jeden z mych ludzi do banku.

— W Cleveland pytał się pan także?

— Tak jest, dziś rano wysłałem depeszę.

— Jak brzmiała?

— Podaliśmy poprostu, co zaszło, prosząc o możliwe objaśnienia w tej sprawie.

— W sprawie pewnego punktu, który wydawał się panu bardziej ważny, nie zasięgał pan żadnych wiadomości?

— Pytałem o Stangersona?

— Nic więcej? Czyż cała ta sprawa nie obraca się dokoła jednego, zdaniem moim, nadzwyczaj ważnego punktu? Czy nie zechce pan raz jeszcze zatelegrafować?

Depesza moja zawierała wszystko, co potrzeba — odparł Gregson w tonie oburzenia.

Sherlock Holmes zaśmiał się w duchu i chciał zrobić jakieś spostrzeżenie, gdy wszedł Lestrade, który pozostał w pierwszym pokoju.

— Właśnie odkryłem coś — zawołał — zacierając ręce z wyrazem radości. — Gdybym był mniej dokładnie badał ściany pokoju, wątpię, czy wpadłbym na to.

Oczy tajnego detektywa błyszczały z radości i wewnętrznego tryumfu, że zdołał uprzedzić swego kolegę.

— Wejdźcie panowie — proszę, z powrotem — wołał — spiesząc przed nami do pokoju, który znacznie mniej groźnie wyglądał po wyniesieniu trupa — tak — teraz przystąpcie bliżej.

Potał zapałkę o podeszwę trzewika i zbliżył ją do ściany. W kacie zwisała oderwana tapeta a na murze, który ujrzeliśmy, wpadło nam natychmiast w oko jedno jedyne słowo, krwią napisane: „Zemsta”.

— Słowo to napisał morderca własną krwią — odpowiedział Lestrade — tu na podłodze widać jeszcze, jak spadała kroplami. Lepszego dowodu, że nie zachodzi tutaj samobójstwo, nie potrzeba chyba. Czy widzi pan tę wypaloną świecę na grzysie pieca? Przy młym jej blasku pisał morderca to słowo w tym ciemnym zresztą kacie pokoju!

— Nie miałem jeszcze czasu rozglądać się należycie po pokoju — odpowiedział Holmes, wyciągając z kieszeni szkło powiększające i centymetr. Panowie pozwola, że się wezmę rąco do roboty.

Bez najmniejszego szelustu zaczął chodzić po pokoju; to stanał, to spoglądał badawczo ku podłodze, raz położył się nawet twarzą na ziemi. W swych poszukiwaniach zagłębił się do tego stopnia, że zupełnie zapomniał o naszej obecności; w trakcie tego prowadził ciche rozmowy z samym sobą, wzdychał głośno, lub gwizdał z zadowoleniem, podniecając się przez ustawiczne wykrzykniki do nowej pracy. Wyglądał jak pies gończy, co skacze w tył i w bok przez gęstwinę, szceka i wyje z ciekawości i dotąd nie zabrał spokoju, aż wpadnie na ślad zagubiony. Dobre dwadzieścia minut prowadził te dziwne badania, mierzył z mikroskopijną dokładnością oddalenia poszczególnych punktów na ziemi, dla oka mego zupełnie niewidomych, potem wysokość i szerokość ścian. Jaki cel ukrywał się w tem wszystkim, nie mogłem zrozumieć. Na pewnym miejscu naprzykład zebrał ostrożnie kupkę szarego prochu z ziemi, i zsywał ją z wolna do koperty. W końcu skierował szkło powiększające na tajemnicze słowo na ścianie i badał każdą z liter możliwie najdokładniej. Rezultat zdawał się go zaspakajać, gdyż schował lupę z widoczną radością.

— Powiadają, że geniusz jest niczem innym jak niezłomną wytrwałością — zauważył z uśmiechem — o ile fałszywym jest to zdanie w samej istocie, to jednak można je zastosować przy pracy tajnego detektywa.

Gregson i Lestrade towarzyszyli dziwacznemu zachowaniu pilnego dyletanta z ciekawym ale pogardliwym nieco wzrokiem. Nie zdawali sobie do-

kładnie sprawy, o czym ja zdawien dawna wiedziałem, a mianowicie, że Sherlock Holmes, ma zawsze, nawet w swych pozornie najnieznaczniejszych badaniach, zawsze jeden i ten sam plan przed oczyma.

— No i cóż pan myśli o tym ciekawym wypadku? — zapytali go prawie równocześnie.

— Jesteście panowie na tak dobrej drodze — odparł im Holmes bez cienia ukrytego szyderstwa — że byłoby wprost niegrzecznością z mej strony, narzucać się z moją pomocą lub radą. Zbierajcie sami zaszczyty, jakie spadną na was za wasze zasługi. Może w ciągu waszych dalszych badań będę wam mógł czemś posłużyć — w takim razie jestem do usług. W każdym razie pragnąłbym koniecznie pomówić z policyantem, który odkrył zwłoki Drebbiera. Powiedzcie mi proszę — jego nazwisko i adres.

Lestrade otworzył swój notatnik.

— John Rance nie ma teraz służby. Znajdzie go pan z pewnością w jego własnym mieszkaniu, Kennington Park, Audley Court Nr. 46.

Holmes notował adres.

— Pójdź pan ze mną, doktorze — zawołał do mnie — poszukamy go wspólnie. — Następnie pożegnał się z tajnymi detektywami.

Zwróćę wam uwagę na jedno jeszcze, co panu znacznie zaoszczędzi trudu — dodał przy wyjściu — tutaj zachodzi rabunek; morderca jest na sześć stóp wysoki, w pełni lat, nogi ma stosunkowo małe, nosi trzewiki ze szerokimi szpicami i palił Trichinoply-cygaro. Ofiarę swoją przywiózł do rożką; trzy podkowy konia były zupełnie stare; podkowa przy lewej nodze przedniej, nowa. Morderca ma czerwonawą cerę i niezwykle długie paznokcie u lewej ręki. Wszystko to szczegóły bez znaczenia, mogą jednak stanowić dla panów pewnego rodzaju punkt oparcia.

Lestrade i Gregson spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

— W jakiż sposób zginął Drebbier, skoro nie zachodzi rabunek? — zapytał pierwszy.

— Otruło go — odpowiedział krótko Holmes. Po tej kategorycznej odpowiedzi oddalił się szybko, a dwaj współzawodnicy patrzeli za nim z wyrazem podziwienia w oczach.

### ROZDZIAŁ IV.

#### Co powiedział nam John Rance?

Była może pierwsza godzina, gdyśmy opuszczali tajemniczy dom przy Brikston-Street, aby pospieszyć czempredzej do najbliższego urzędu telegraficznego. Holmes wysłał jakąś długą depeszę, po czem pojechaliśmy do mieszkania policjanta.

— Zeznania świadków należy przyjmować możliwie z ich własnych ust — zauważył — i chociaż ta sprawa tak jasną jest dla mnie aż nadto, uważam przecież za stosowne, dowiedzieć się najbliższych szczegółów.

— Ależ panie Holmes! — zawołałem zdziwiony niezmiernie — to niepodobna, abyś pan zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego z taką drobiazgową dokładnością, jak pan to twierdzisz obecnie!

— Tak jest! wszelka wątpliwość wykluczona — odparł Holmes. — Zaraz po naszym przybyciu, pierwszym, co mi podpadło, był podwójny ślad kół, wiodący aż do samego parkanu. Wczoraj poraz pierwszy od tygodnia padało, a głębokie rowy mogły wtedy dopiero powstać, gdy ziemia należycie zmiękła. Znać było także kopyta końskie, trzy niewyraźne, czwarta podkowa zarysowała się znacznie głębiej, wobec tego była świeższa od tamtych. Skoro dorożka iechała obok tego domu dopiero po deszczu, jak Gregson zapewnia, musiała zatem odwieść mordercę wraz z jego ofiarą w ciągu nocy.

— Sprawa wyświetlona nieco — odparłem — po czem wnosi pan jednak o zewnętrznym wyglądzie mordercy?

— Wysokość człowieka bardzo łatwo oznaczyć w wielu wypadkach według jego kroków. Rachunek zrobiłem szybko, ale nie chcę pana męczyć cyframi. Długość kroku mordercy znalazłem zarówno na polu w glinie rozmokłej, jak i w pokoju na gęstej powłoce kurzu. Prócz tego mogłem zrobić próbę: kto pisze na ścianie, nie czyni tego nigdy na wprost swoich oczu, a tajemniczy wyraz oddalony właśnie od ziemi sześć stóp. Widzi pan jakie to łatwe!

— A co do jego wieku?

— No, jeśli człowiek ten bez zbytniego natężenia stawia kroki na półpięta stóp, to nie jest on bardzo stary. Tak szeroką bowiem była kafała na drodze do ogrodu, którą musiał przeskoczyć.